

Maria Kempa

W cieniu taśmociągów

Linie taśmociągów przecina szosa, wiodąca z Turka do Adamowa. Kierowcy przejeżdżających tam wtedy ciężarówek przystają, aby pogapić się chwilę na migającą w słońcu taśmę transportera. Niebawem w pobliżu urośnie ogromne usypisko. Góra ziemi przeniesionej z węglowej odkrywki, pokryje zieleniejące teraz łąki. Znikną wkrótce okoliczne zagrody. Nie zostanie śladu po zapadniętych w ziemię chatkach o szernych ze starości drewnianych ścianach i omszałych strzechach.

Na razie jeszcze mieszkają tam rolnicy z dziada pradziada. Dotychczas wegetowali. Orali piaszczystą glebę, sprząkali mizerne plony, jeździli od czasu do czasu na jarmarki do Turka. Żenili się i umierali na miejscu. Na granicach powiatu kończył się ich świat. Ten świat przenicowała rewolucja przemysłowa.

Magia brunatnego złota

Zmąciło im się w głowie od nowych myśli, kłopotów i zmartwień. Dotychczas zastawali z chwilą urodzenia określone warunki, przystosowywali się do nich, ale zmienić mogli niewiele. Teraz mają prawo wyboru. Dobrze to czy źle? Dla nich na pewno trudne. Odkrycie brunatnego złota sprawiło, że dla niektórych uboga dotąd okolica stała się wymarzoną Klondike; mogli poprawić swój byt, znaleźć pracę w przemyśle, bez potrzeby opuszczania rodzinnych stron. Innym ziemia zaczęła się palić pod stopami.

— Stoimy jak na rozróżnionych węglach — powiedział jeden z chlebońskich rolników, który dostał tak zwane wymówienie. W określonym terminie otrzyma odszkodowanie od Kopalni Węgla Brunatnego. Odtąd może robić co mu się podoba.

Takich jak on jest więcej. Połowa ich wsi przestanie istnieć. Tak już stało się przecież z Jeziorkami. Tak będzie właśnie w Chlebowie i Pecherzowie. Nie pierwsi więc oni i nie ostatni. Kilka zagród w Chlebowie już wykupiono i rozebrano. Co zrobili ich dawni właściciele? Co zrobią następni, jaką podejmą decyzję?

Na rozdrożu

Zapytana o to Anna Graczykowa, współwłaścicielka 12-hektarowego gospodarstwa, nie umiała dać zdecydowanej odpowiedzi.

— Starzy już jesteśmy oboje z mężem, dzieci pracują w mieście. Tylko zięć z córką tu mieszkają. Mają domek, ale zięć pracuje już w kopalni. Dadzą mu mieszkanie zastępcze i odszkodowanie. Jemu to dobrze! A co my zrobimy? Chcielibyśmy kupić kawałek ziemi z domkiem koło Turka, ale za nasze gospodarstwo pieniędzy by nie starczyło.

— Gospodarstwa nie kupimy, bo nie miałby kto pracować — potwierdził mąż Graczykowej, który akurat nadjechał wozem. Do innego powiatu się nie przeniesiemy, jak to zrobił Marczak, co sobie w kępińskim powiecie gospodarę kupił. Urządził się dobrze, był tu, opowiadał. Wyprowadzili się też Ślusarek, Feliksiakowa (mieszka w Turku), Górnicka.

W trakcie rozmowy nadjechał na rowerze zięć Graczyków. Wiśniewski — z zawodu kowal — bez trudności znalazł pracę w kopalni. Nie przejmował się wcale przeprowadzką.

Nie wszyscy w Chlebowie są tak beztrosko usposobieni; martwią się ci, którzy nie pójdą do pracy w kopalni — z braku kwalifikacji, zdrowia czy też z powodu starości. Co zrobi osiemdziesięcioletni dziadek Ludkiewicz z, równie sędziwą, żoną? Gospodarstwa na pewno nie kupi, nie pójdzie do powiatu gnieźnieńskiego, trzcińskiego czy międzychodzkiego, gdzie można nabyć ziemię.

— Taką małą chałupkę — powiedział — to bym kupił, trochę ziemi, żeby i ogródek był. Z jedną wdową już targowaliśmy, ale tam sukcesorów za dużo było. Trzeba by z rok czekać, a my po żniwach musimy się wyprowadzić. Żeby tak ktoś doradził...

Potrzebna pomocna dłoń

Czy zwracał się do radcy prawnego przy kopalni? Ano, nie. A czy by tam pomogli? Dziadek Ludkiewicz nie bardzo w to wierzy. Może i nie bez powodu. Jak nam powiedziano w kopalnianym biurze, nie pośredniczy się tam w wyszukiwaniu gospodarstw. To przecież nie należy do obowiązków kopalni. Porady prawnej można zasięgnąć, załatwić sprawę odszkodowania, czasem pracy, mieszkania zastępczego dla rodzin, których nie stać na kupno domu. Staraniem kopalni przewozi się dobytek i meble przesie-

Dokończenie na str. 3

Tadeusz Haluch

Pięć lat Telewizji Poznańskiej

Na wstępie pouczająca statystyka: liczba telewizorów w Stanach Zjednoczonych dochodzi do 48 milionów, w Anglii — 12 milionów, w Japonii — 9, w ZSRR — 6. Telewizja działa obecnie w 65 krajach. Co roku na całym świecie wykuta 7 milionów nowych anten. Skromnie obliczając, ponad pół milarda ludzi ogląda program telewizyjny. Polska posiada mniej więcej 700 tysięcy telewizorów. Nie należy więc do potęg XI MUZY, ale też nie wlecze się na samym końcu. Weźmy zresztą pod uwagę fakt, że kiedy 90 procent obszaru Polski znajduje się w zasięgu odbioru programu — rozwój polskiej telewizji wzrósł niepomniernie. Już dzisiaj wyprzedzamy Danię, bogatą Szwajcarię i dogania my Belgię.

Jak w zestawieniu z tymi gigantycznymi statystykami prezentuje się wykreślenie rozwoju Telewizji Poznańskiej? 1 maja 1957 roku z byłej sali dan-

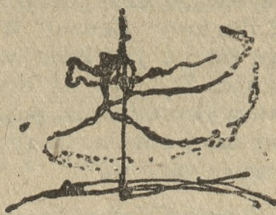
singowej „Belwederu”, zaadaptowanej dla potrzeb produkcji telewizyjnej popłynął w eter pierwszy program. Program bynajmniej nie eksperymentalny, skomponowany według najnormalniejszych pod słońcem zasad. A więc na wstępie transmisja z uroczystego otwarcia Ośrodka, składanka rewiiowo-kabaretowa „Tele - złego na jednego”, telewizyjny na kronika filmowa i pełnofabularny film francuski „Gdyby wszyscy ludzie dobrej woli”. Nie mogło sobie odmówić przyjemności zacytowania pierwszej zapowiedzi mocno stremowanej spikerki: „Dzień dobry drodzy widzowie. Proszę się nie dziwić memu wzruszeniu, ale chwila jest naprawdę bardzo uroczysta — po długich, długich oczekiwaniach rozpoczynamy wreszcie pierwszy program Telewizji Poznańskiej. Witamy wszystkich miłośników nowej muzy madzonych na pewno tłumnie przy odbiornikach — i życzymy dobrego obrazu.

Dokończenie na str. 2

Ryszard Danecki

Pejzaż majowy

Widok ziemi
z lotu człowieka:



nagle
kontynenty stają w pion —
kraj
na południka smukły maszt
nagle
flagą majową się wspiął —
jakże
ziemia nasza niewielka —
jakże wielki
człowiek
i wiek
nasz!

Widok ziemi
z lotu człowieka:
gwiazda
na sztandarze mlecznych dróg
czerwona
jak żarzący się lont
pod twierdzą,
gdzie skrył się
ponoć
bóg —
jakże nasza
epoka wielka —



jakże wielki
myśli wolnej lot!

Z dziennika instruktora KW PPR

Autor dziennika w 1945 roku przyjęty został do Polskiej Partii Robotniczej. Od 1946 roku po dzień dzisiejszy jest pracownikiem Komitetu Wojewódzkiego Partii w Poznaniu. W tygodniku Polityka w dniu 31 marca 1962 ukazały się również fragmenty jego dziennika pt. „Od Referendum do Wyborów”. Redakcja „Głosu” publikuje dalsze fragmenty dziennika.

25 STYCZNIA 1947 R.

Spontaniczne manifestacje w miastach Wielkopolski w związku z zwycięstwem wyborczym bloku stronnictw politycznych. W Lesznie sala w kinie przepelniona była ponad normę. Co chwila padały okrzyki „Niech żyje PPR”, „Niech żyje Władysław”. Reakcja rozdziera szaty.

28 STYCZNIA 1947 R.

Zamordowany został Janek Stachowiak, rzutki i wesoły dwudziestoletni chłopak. Złotki jego znalezione w murach kościoła Bernardyńskiego. Co za straszny widok: głowa podziurawiona nożami przedstawia jeden skrzep krwi. Zginął działacz młodzieżowy, który co dopiero zaczynał życie. Straszny jest nie tylko ból matki zamordowanego jedynaka.

22 LUTY 1947 R.

Przemierzylem wzdłuż i wszerz powiat rawicki. Sytuacja polityczna po wyborach na wsi stabilizuje się coraz bardziej. Chłopi, którzy się wahałi jeszcze przed wyborami, obecnie coraz bardziej życzliwie odnoszą się do członków PPR, zaczynają rozumieć wysiłek partii w odbudowie Polski. Wielu z nich zgłasza akces do PPR.

W Rawiczu odnalazł mnie Zbigniew, prosząc o dłuższą rozmowę, abym mu dopomógł w przyjęciu do PPR. Wystawiłem rekomendację: „Obywatel Zbigniew Z. winien swą postawą dać dowód walki o nasze demokratyczne ideały, winien nie tylko przekonać się o trwałości ustroju demokratycznego, ale przede wszystkim o jego słuszności.

Wówczas można rozważyć przyjęcie w/w do partii. Rekomendacja zrobiła na nim piorunujące wrażenie.

1 MARCA 1947 R.

Otrzymałem do załatwienia zażalenie z Zakładów Cegielskiego na

Feliks Siemiankowski

TRUDNE DNI

sekreterza gminnego PPR. Sekretarz Komitetu Gminnego zamiast wyjaśnić sprawę, zwrócić uwagę na niewłaściwe postępowanie swego brata, przyrzeka robotnikom, że wkrótce będzie parcelował majątek. Nic go nie obchodzi urząd, komitety partyjne oraz to, że ten majątek dzierżawi HCP. Stanowi on poważne zaplecze aprowizacyjne dla załogi. Zaczął mnie pouczać: „Bądźcie ostrożni, bo oni żerują na chłopach, a co do parcelacji, to ziemia jest chłopu i powinna być rozdana”. Cóż, mamy jeszcze takich sekretarzy, zapominają o skromności, o podporządkowaniu dyrektywom partyjnym. Czy zmienić sekretarza? To łatwa sprawa, ale trudniejsza wychować.

6 MARCA 1947 R.

Członkowie Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej w powiecie Mogińskim skarżą się, że napotykać na trudności w rozwoju swej placówki. „Społem”, które w myśl rozdzielnika ma obowiązek dostarczać towary do spółdzielni ZSch, dokonuje obrotów z prywatnymi kupcami. Zebrałem moc materiału na konferencję z przedstawicielami „Społem”.

Nasz przemysł dzięki pracy robotników, inżynierów coraz więcej produkuje, ale towar nie dociera do wsi, do najbardziej potrzebujących. Spekulantów coraz bardziej grasują, wywołują nieraz panikę na wsi, by ściągnąć większą cenę za produkty rolne od ludności miejskiej.

Napiszę na ten temat artykuł.

11 MARCA 1947 R.

Dziś ukazał się mój artykuł w „Woli Ludu” pt. „OCZYŚCIĆ APARAT SPÓŁDZIELCZY Z LUDZI NIEUCZCIWYCH”.

10 KWIEŚNIA 1947 R.

Przebywałem w terenie po linii akcji siewnej. Nie będę zapisywał wszystkich kłopotów, trudności, z jakimi napotykać się chłopci, koła PPR. Jest ich cała masa. Gdzie zajadzą, zwłaszcza do powiatów Kępno, Leszno, Rawicz, sprawa gospodarstw poniemieckich przysparza dużo pracy. Gospodarstwa były w wielu wypadkach nieodpowiednio przydzielane przez byłe komisje

ziemskie. Niektórzy, mając własne gospodarstwa, zajęli jeszcze poniemieckie i przyznano im. Regulują się teraz te sprawy, co nieraz jest rzeczą kłopotliwą.

28 KWIEŚNIA 1947 R.

Wydarzenia tego nie można pominąć.

Do Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Partii Robotniczej w Poznaniu

Z okazji przyjmowania w szeregi Poznańskiej Organizacji PPR 100-tysięcznego członka, zasylam Wam, Towarzysze, jak też wszystkim organizacjom partyjnym województwa poznańskiego słowa uznania za ofiarną pracę po linii umasowienia Partii.

Budując silną, masową, zdyscyplinowaną o wysokim poziomie politycznym Partię, oddajemy ją w służbę narodu polskiego i pragniemy, aby była jego czołowym oddziałem w pracy i walce o zbudowanie nowej, szczęśliwej Polski w granicach nad Odrą, Nysą Łużycką i Bałtykiem.

Warszawa, kwiecień 1947 r.

Władysław Gomułka
Sekretarz KC PPR

5 LIPCA 1947 R.

Otrzymałem bładoniebieski mandat numer 154 na II Konferencję Wojewódzką PPR w Poznaniu.

27 SIERPNI 1947 R.

Kierownik Wydziału na urlopie. W jego zastępstwie trudzę się nad odpowiedzią na pismo KC z dnia 20 sierpnia l. dz. 449/47WR w sprawie przebiegu akcji sprzedaży wianianej, podatku gruntowego, pracy Spółdzielni Samopomoc Chłopska itp. Nieco więcej mogłem napisać o tworzących się Spółdzielnych Ośrodkach Maszynowych. Takich Ośrodków w województwie poznańskim jest 65, w których znajduje się 108 traktorów. Ośrodki powstają przede wszystkim tam, gdzie dana gmina jest najbardziej oddalona od miasta. Do niektórych Ośrodków dostarczono siewniki, a ostatnio wprowadzono partię plugów i kultuwatorów amerykańskich. Wszystkie Ośrodki otrzymujące traktory, przekształciły traktorzystów w Centralnym Ośrodku Przeszkoleniowym w Gołecinie koło Poznania. Brak maszyn i brak części, takie są nasze kłopoty. Postanowiliśmy więc wyjść z tej sytuacji w ten sposób, że tworzymy na Ziemi Lubuskiej Ośrodek Zbiórki Maszyn Rolniczych i Sprzętu Rolniczego. Takie punkty zbiórki powstały w Gorzowie, Krośnie, Stubicach, Sulechowie, Drezdenku. Przedstawiciele „Społem” w porozumieniu z PRN, oddziałami OKL i Związku Samopomocy Chłopskiej szukają zbędnych i nie zarejestrowanych maszyn poniemieckich. Maszyny zostają oszacowane, segregowane na zdolne do użytku, do remontu, lub nadające się na użytek części. Obecnie idą starania, ażeby uzyskać zezwolenie na ich wywóz na ziemie dawne.

Drugą część fragmentów dziennika Feliksa Siemiankowskiego zamieścimy w wydaniu wtorkowym.

Feliks Fornalczyk



Jeep wypadł na prostą, oślizgłą od deszczu szosę i nabierał coraz większej szybkości. Mężczyźni w krótkich, lekkich kurtkach, upiętych pasem, siyli się blisko ramionami, nie odznaczając wstrząsów po nierównościach rozbitego czołgami traktu. Od uderzenia dzwonka służbowego telefonu nie upłynęło jeszcze zbyt wiele czasu, lecz mimo to pasażerom zielonego samochodu udzieliło się zniecierpliwienie i gdyby nie to, że nie trzeba ponaglić kierowców, cały niepokój wyładowałiby na nim właśnie. Uczucie, jakie się im udzieliło, było zresztą czymś z pogranicza niepokoju, skupienia i jakiegoś niemal zeszytynienia uwagi na tym jednym: aby szybko być na miejscu. Ale to uczucie udzieliło się również kierowcy. Jeździli już w takim składzie kilka razy w ciągu ostatnich dwóch tygodni, ale tylko Karol oraz dowódca patrolu, frontownik sierżant Pietia, dostrzegali drżenie rąk kierowcy Krzysztofa, kiedy przejeżdżał most na jednym z dopływów Odry trzeba było wziąć kurs na północny-wschód, w kierunku na wieś Brzeszcze. Gdzieś na szóstym kilometrze od tego zakrętu, za mostem, mieli w pewną marcową noc wypadek. Szosa była pokryta lekkim śniegiem, wiatrem lodu, przyspieszone reflektory nie dawały możliwości widzenia — i wtedy tuż przed maską samochodu pokazała się nie wiadomo skąd furmanka. Krzysztof zahamował, koła nie zatrzymały jednak rozjeżdżonego samochodu, który zrobił na szosie obrót i grzmotnął prawym białym furem. Kiedy się pozbierali z ziemi, okazało się, że furmanka rozsyłała się w drzazgi, jeep był pogięty, ale zdolny do dalszej drogi, natomiast woźnica i kobieta, którą wioził on właśnie od lekarza z miasteczka, byli ciężko pokaleczeni. Wtedy to doznał złamania obojczyka podchorąży Stefan, a wstrząsu mózgu szeregowiec Juliusz. Był jeszcze kłopot, co zrobić z koniem, który dziwnym trafem wyszedł z tego wszystkiego bez szwanku, ale Stefan polecił w końcu zająć się nim i resztkami furmanki Karolowi, a sam zarządził powrót do bazy. Tej nocy w Brzeszczach, do których nie zostało więcej niż dwadzieścia kilometrów, banda jedrycha rozwalila całą obsadę posterunku Milicji, komendant i dwóch szeregowców. Krzysztof i Stefan zostali aresztowani. Krzysztof wkrótce zresztą został zwolniony, a Stefan oczekiwał na proces, a tymczasem za karę został wyznaczony do zorganizowania posterunku w Brzeszczach. Decyzję taką podjął komendantowi powiatowemu katastrofalny brak ludzi. Skład patrolu alarmowego uległ zmianie, a Krzysztof, który miał zadanie zrehabilitować się w dalszych akcjach, na przywróconym mu ponownie jeepie nie mógł powstrzymać mimowolnego drżenia rąk, ilekroć miał przejeżdżać przez miejsce tego wypadku. Przyczynę zderzenia poznali jednak tylko dwaj uczestnicy katastrofy, sierżant Pietia, który został w miejsce Stefana dowódcą patrolu oraz Karol. Oni też oddychali z największą ulgą, gdy samochód wypadł z fatalnego miejsca i unosił ich w dalsze regiony. Fatalne miejsce mijali odłóż zawsze bez niespodzianek, ale dziś chodziło jeszcze o to, że alarmowały Brzeszcze. Stefan. Wiadomo było, iż nie wzywałby on pomocy z białego powodu. Brzeszcze zaś leżały na obszarze zasięgu bandy Jedrycha i co pewien czas powiatówka była alarmowana właśnie przez ten posterunek. Wiadomo było i to, że Stefan nie zdążył jeszcze skompletować pełnej obsady swojej placówki i że banda znała dojście i wrażliwe miejsca bu-

Ciąg dalszy na str. 3

Od Gallupa do OBOP

Michał Łuczak

Polski renigen statystyczny

Na co zwracamy główną uwagę przy doborze znajomych i przyjaciół? Na charakter? Poglądy? Zawód? Wcale nie! Najwięcej ludzi zwraca uwagę na to, jak inne osoby zachowują się w towarzystwie. Dopiero na drugim miejscu znajduje się sprawa poziomu wykształcenia, poglądy polityczne i religijne — na trzecim miejscu, a pozycja zawodowa przyjaciół i znajomych — na czwartym.

Informacje te zawdzięczamy Ośrodkowi Badania Opinii Publicznej przy Polskim Radio. Działa on od czterech lat i ma za sobą kilkadziesiąt badań ankietowych. Na warsztacie znalazły się między innymi: problem autorytetu, jakim cieszą się wśród społeczeństwa najbardziej typowe zawody i stanowiska, zagadnienie tolerancji politycznej, społecznej i religijnej, sprawa estetyki ubiorów i mieszkań.

Niezmiernie ciekawe były wyniki ankiety pt. „Praca i moralność”. Chodziło o zbadanie stopnia potępienia różnych wykroczeń i przestępstw, związanych z wykonywaną pracą.

Okazało się, że absencja u pracy jest dość powszechnie tolerowana: 20 proc. zapytywanych w ogóle nie reaguje moralnie na tego rodzaju wykroczenia, połowa zaś twierdzi, że nie przewiduje żadnego własnego przeciwdziałania w takich przypadkach. Znacznie silniejszy sprzeciw budzi natomiast brak orobstwo. Stąd wniosek, że przy lekceważeniu dyscypliny pracy, występuje równocześnie szacunek dla dobrej roboty.

Kradzież surowca czy narzędzi w zakładzie pracy — większość badanych potępia. Natomiast stosunek do kradzieży czasu (na przykład załatwianie w godzinach pracy spraw osobistych) jest liberalny. 61 proc. stwierdziło, że ocena zależy tu od okoliczności, a 18 proc. — nie widzi w tym nic złego. Z tą sprawą wiąże się organizacja pracy. Na pytanie: „jak często w godzinach pracy nie ma pan(i) żadnego zajęcia?” — tylko 41 proc. badanych odpowiedziało, że sytuacja taka nie zdarza się nigdy. U 48 proc. — zdarza się czasami, a u 9 proc. — często.

Powyższe przykłady, stanowiące zresztą drobną częsteczkę dorobku

OBOP, pozwalają stwierdzić, że dzięki Ośrodkowi możemy znacznie pogłębić wiedzę o współczesnym społeczeństwie.

Nie tylko teoria

Spotkałem się z opiniami, że badanie opinii publicznej ma znaczenie wyłącznie teoretyczne. Czy tak jest właśnie? Orientacja co do poglądów społeczeństwa stanowi przecież podstawowy warunek skuteczności poczyną: ustawodawczych, wychowawczych, kulturalnych, podejmowanych przez powołane do tego czynniki. Oto przykład.

Był czas, że autostop znalazł się pod ostrzałem krytyki. Fakt ten skłonił Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki do zlecenia Ośrodkowi przeprowadzenia odpowiedniej ankiety. Jej uczestnicy przeważnie opowiadali się ZA utrzymaniem autostopu, ale w nieco zmniejszonej formie. W miesiąc po otrzymaniu wyników ankiety, GKKFiT podjął uchwałę, uwzględniającą zasadnicze postulaty badanych (podniesienie dolnej granicy wieku autostopowiczów do 18 lat, zabezpieczenie finansowe podróży — książeczki PKO z określonym wkładem itp.).

Wiele instytucji, doceniając właśnie praktyczne znaczenie pracy Ośrodka, zleca mu przeprowadzanie badań. W oparciu o nie, dana instytucja — czy to będzie np. teatr czy radio, czy też producent mebli — znając zainteresowania i potrzeby społeczeństwa, może rozwijać owocną działalność, raczej pozbawioną elementów „gry w ciemno”.

Nasuwa się z kolei pytanie: jak działa OBOP?

Sieć ankietatorów

Metody badawcze Ośrodka oparte są przede wszystkim na zasadzie reprezentacji. Chcąc wiedzieć jaki pogląd ma społeczeństwo na

daną sprawę, wystarczy przebadać 3—5 tysięcy osób. W tej liczbie muszą się jednak znaleźć — w ustalonej proporcji — reprezentanci wszystkich kategorii i środowisk społecznych. Chodzi więc o zbadanie opinii takiej grupy, której struktura jest podobna do struktury całego społeczeństwa.

Aparat wykonawczy OBOP — to 1,5-tysięczna armia ankietatorów. Są wśród nich ludzie najrozmaitszych zawodów oraz mieszkańcy miast, miasteczek i wsi. Instruktorem ankietatorów na województwo poznańskie jest mgr Tomasz Kocowski, na informacjach którego opieramy niniejszą publikację.

Funkcja ankietera, polegająca na przeprowadzeniu raz w miesiącu wywiadów z kilku osobami, jest pracą społeczną, na ogół traktowaną z zacięciem i dużą pasją poznawczą. Gdyby kogoś z naszych Czytelników interesowała praca w OBOP, może zgłosić swój akces (adres: OBOP przy Polskim Radio, Warszawa, ul. Noakowskiego 20). Wymagania? Odpowiednie kwalifikacje

*) Przykład wykazujący wyższość metody reprezentacji nad innymi sposobami. Podczas wojny została w USA rozpisana ankieta pt. „Czy jesteś przeciwko czy za przystąpieniem Stanów do wojny z Niemcami?”. Ankieta ogłoszona w prasie przyniosła ogromną większość odpowiedzi negatywnych (odpowiadały przede wszystkim zainteresowane rodziny poborowych). Te same badania, przeprowadzone metodą reprezentacji wykazały, że większość społeczeństwa jest za przystąpieniem USA do wojny.

Pięć lat Telewizji

Dokończenie ze str. 1

Za chwilę nastąpi uroczyste otwarcie Poznańskiego Ośrodka Telewizyjnego”.

A więc kości zostały rzucone. Telewizja Poznańska stała się faktem. Była — chronologicznie rzecz biorąc — drugim ośrodkiem po Warszawie (jeżeli pominiemy eksperymentalne studio łódzkie). Była ośrodkiem, który okres zaborowania przeszedł błyskawicznie i z miejsca zaczął atakować najtrudniejsze pro-

blemy estetyki telewizyjnej — tłumaczenie pojęć na język obrazu, konwencja teatralna a montaż filmowy, wizualność poetyckiego słowa i dziełki innych. Zanim jeszcze Zespół w pełni docenił możliwości oddanego mu do dyspozycji instrumentu, poszły w eter skomplikowane estrady, pełnospektaklowe widowiska i eksperymentalne formy publicystyczne. Praktyka wyprzedzała w tym zakresie teoretyczne rozważania. Praktyka nadawała jednostkowym osiągnięciom czy porażkom sens uogólniający.

Rozgłos w świecie

Instytucje zajmujące się badaniem opinii publicznej są od dawna znane za granicą (przypomnijmy słynny Instytut Gallupa). W Polsce tego rodzaju działalność stanowi nowość. Specyfika OBOP polegała na korzystaniu z usług społecznych ankietatorów (na Zachodzie jest to zazwyczaj funkcja zawodowa). Warto dodać, że specyfiką OBOP zainteresowali się Amerykanie, którzy mają zastrzeżenie tego rodzaju instytucji.

Największy rozgłos zdobył jednak Ośrodek w krajach socjalistycznych, gdzie do niedawna był jedyną placówką tego typu. W 1960 roku powstał przy „Komsomolskiej Prawdzie” Instytut Badania Opinii, utrzymujący żywy kontakt z OBOP. Obecnie z zamiarem założenia takiej instytucji noszą się w Czechosłowacji. Metodyka i organizacja badań Ośrodka interesują się również naukowcy Jugosławii i NRD.

Cóż — można sobie tylko życzyć, by OBOP coraz lepiej i w coraz większym zakresie pełnił funkcję statystycznego rentgena i by wyniki tych diagnoz były częściej uwzględniane w życiu.

Bogusław Kogut

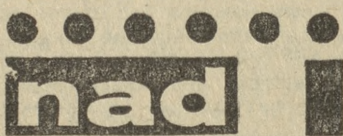
Komplementy i skromność

Król Fryderyk chciał poznać się starego młynarza, który psuł mu widok z okien. Dla pruskiego króla chcieć to moc. Rozkazał więc młyn zlikwidować. Wówczas młynarz postraszył króla sądem w Berlinie.

Jest to dydaktyczna bajeczka, z której ma wynikać morał o głębokiej praworządności pruskiego państwa i o niezłomnej wierze w tę praworządność ze strony poddanych. W ramach rozszalałej w naszym kraju dyskusji o anarchii bajeczka ta odżyła pod piórem jednego z dyskutantów, który tak ją komentuje — cytuję: „Ale to już jest pewien styl myślenia, który zaszczerpił się kmiotkom i łyżkom w oparciu o dyscyplinę i jednność działania i o dokładne rozeznanie w taktyce tyfana. Przykład Drzymały nie ma w sobie nic z bajeczki o młynarzu z Sans-Souci, nie jest to bowiem przykład ślepej wiary w „Ordnung”, ale przykład rozeznania w taktyce wroga, przykład świadomości praktycznej.

Jesteśmy więc wzorem ładu społecznego na co dzień — jaki miły komplement, nieprawdaż? Jesteśmy wzorem dzięki temu, że kmiotkom i łyżkom zaszczerpił pruski styl myślenia — to już raczej nie jest komplement. A najzabawniejsze, że i jedno i drugie trochę nie prawda.

W kreowaniu nas na wzór jest — jak w każdym zresztą komplemente — nieco przesady. Natomiast genealogia tego wzoro-



wego stanu rzeczy została postawiona na głowie, czyli do góry nogami. Bo ten ład na co dzień nie jest jedynie a nawet nie przede wszystkim wynikiem drylu zaszczerpiętego łyżkom. Wynika on raczej stąd, że tutaj w Poznaniu na czas zdolano uświadomić sobie, iż skuteczny opór fali germanizacyjnej można stawiać jedynie w oparciu o dyscyplinę i jednność działania i o dokładne rozeznanie w taktyce tyfana. Przykład Drzymały nie ma w sobie nic z bajeczki o młynarzu z Sans-Souci, nie jest to bowiem przykład ślepej wiary w „Ordnung”, ale przykład rozeznania w taktyce wroga, przykład świadomości praktycznej.

Powstałe pytanie — skąd bierze się niezniszczalna trwałość mitów o Poznaniu „dobrze wychowanym” przez sądy królów Fryderyków. Oczywiście, z ignorancji historycznej. Ale nie tylko. Także z relikwów mechanistycznego myślenia. Temu ostatniemu jesteśmy sami trochę winni.

Przykład: Wiszą w witrynach różnych punktów usługowych w Poznaniu tabliczki objaśniające, że zakład świadczy usługi dla ludności. Wiszą te tabliczki w zakładach, które mogłyby nie świadczyć usług dla ludności, a tylko dla przedsiębiorstw. Ale wiszą także w takich punktach, gdzie ewentualne nieświadczenie usług dla ludności jest nawet teoretycznie niemożliwe. Na przykład u fryzjerów. Idzie sobie przez Poznań taki historyk i myśli sobie nie bez racji: „Czyżby fryzjerzy mogli strzyc owce zamiast ludzi?” No i utwierdza się w swojej mechanistycznej interpretacji tutejszego wzorowego ładu. „Jak cię widzę tak cię piszą” — mówi przysłów. Stuszne, mądre przysłówie.

Płonie namiętna dyskusja o anarchii lub jej braku w naszej historii. Znajdują się głośni obrońcy różnych naszych historyczno-narodowych tradycji, nawet szlacheckiego warcholstwa, nawet nieodpowiedzialności wodzów, nawet teorii o stanie nierządów. O Poznaniu można powiedzieć, że o ile nie jest jeszcze idealnym wzorem ładu, to w każdym razie w anarchistycznych tradycjach ma udział raczej niewielki. Ale interpretatorów tej „antyanarchiczności” jakoś brak, a jeśli się nawet znajdują, to dostrzegają zaledwie pruski dryl zaszczerpięty kmiotkom i łyżkom. Trochę to gorzka prawda — ale prawda.

Nie rozdieram, oczywiście, szat, nie ma do tego powodu. Dyskusja, zamieszawszy nieco w kręgu intelektualnej „wierhuszki”, przewala się. Pozostanie rzeczwiśtość, w której wglor najważniejszy posiada działanie, zorganizowane, oparte na obywatelskiej samodyscyplinie. W tym działaniu nie zabraknie nas, Poznańców — i to jest zapewne ważniejsze niż głośna obecność w ekskluzywnych dyskusjach. Ale czasem trudno oprzeć się wróżeniu, że jesteśmy jakoś zadowolająco skromni. A może tylko nieśmiali?

Około 200 telewizorów odebrało pierwszy poznański program. Dzisiaj jest ich w województwie poznańskim prawie 50 tysięcy. Zupełnie przyzwyczajony przyrost naturalny — 10 tysięcy aparatów w ciągu każdego roku. Cwierać miliona wielkopolskich telewizorów — ta liczba nie imponuje być może na tle statystyk europejskich, ale ma swoją wymowę.

Uwagi niniejsze nie mają absolutnie ambicji bilansowania osiągnięć czy też braków działalności Poznańskiego Telewizji, jest to problem przekraczający o wiele ramy skromnego artykułu. (Np.: liczba filmów fabularnych nadanych przez poznański Ośrodek w ciągu pięciu lat wynosi 1.000. Programy muzyczne, literackie, publicystyczne można liczyć również w tysiącach). Chciałbym jedynie podkreślić zasadniczy moment — niewątpliwą stabilizację programową Ośrodka. Produkuje on swoje programy przeważnie na antenie ogólnopolskiej i w pewnych dziedzinach (muzyka, publicystyka — rolina), zajmuje wysoką lokatę. W marcu br. Telewizja Poznań uczestniczyła regularnie co drugi dzień w programie dla całej Polski. Jeżeli uwzględnić ciągle jeszcze pokutujące braki w technicznym wyposażeniu oraz specyficzne trudności zaplecza — ten swoisty rekord posiada swoją wagę. A są znaki w eterze i na ziemi, że rekordy tego typu przy sprzyjających okolicznościach będą padać i to jeszcze w tym roku.

Pracowite było to pierwsze pięć lat. Niekiedy nawet bardzo trudne, nie pozbawione gorzkich porażek, bogate jednak w najcenniejszy kapitał — doświadczenie. Ilek programów pojawiło się dosłownie tylko na pół godzinki i schodziło na tychmiast z afisza. Ale są również i takie programy, które trwają od kilku lat, cieszą się powodzeniem i zdobywają — jeśli można użyć terminologii handlowej — rynek krajowy. Muzyka, teatr, cyrk, poezja, rozrywka, sport, publicystyka, sprawy ważne i białe, wzruszające i nieudolne, sugestywne i mdłe, sukcesy i porażki — wszystko to w perspektywie pięciu lat komponuje się w jedną mozaikę, tak skomplikowaną jak skomplikowane są pierwsze kroki XI Muzy w Polsce.

TADEUSZ HALUCH

Ilustr. Ewa Pruska

W cieniu taśmociągów

Dokończenie ze str. 1

dzieńców na nowe miejsce zamieszkania.

To wszystko? Prawie tak. Czy to wystarczy? Moi informatorzy z kopalni „Adamów” byli nieco zdziwieni. Co jeszcze można zrobić? Robią co do nich należy. Resztę załatwiają rady narodowe.

— Wydziały rolnictwa udzielają informacji, ale trzeba pojechać do danego powiatu, bo sytuacja ciągle się zmienia. Państwowe gospodarstwa rolne przejmują ostatnio dużo ziemi w zagospodarowanie — powiedziano mi w Wydziale Rolnictwa Prezydium WRN. — Dajemy adresy, umożliwiamy dojazd do określonej wsi. Czy posiadamy plany gospodarstw? Niestety, nie. Możemy udzielać tylko ogólnych informacji. No tak. Ale rolnik bez obejrzenia — gospodarstwa nie kupi. Musi pojechać? Trudno, na to nie da się nic poradzić. Dobrze, że jest wybór, za kilka lat i tego nie będzie: ziemia zostanie rozdysponowana. Co zrobią wtedy wywłaszczani? Pójdą pracować do kopalni, bilans siły roboczej tego wymaga. Mogą zgłosić się do PGR...

Niby to racja, ale czy taka perspektywa odpowiada wszystkim rolnikom z powiatów Konin i Turek? Do tej pory uległo wywłaszczeniu około stu gospodarstw na obszarze kilkuset hektarów. Pokłady węgla zalegają na wielkiej przestrzeni. Czy pomyślano o zorganizowanej, planowej akcji przesiedleńczej? Przecież nie ma co się łudzić, aby wszyscy poszli pracować w kopalni lub w PGR. Na obrotność chłopów nie zawsze można liczyć. Niektórzy mieszkańcy tureckich wiosek nosa poza własne opiotki nigdy nie wytknęli. Może trzeba pomyśleć do zarzuconej koncepcji konińskiej kopalni, która swego czasu wybudowała całą wioskę dla przesiedleńców?

Imponujący jest widok nowoczesnych taśmociągów na tle prymitywnych zabudowań Chlebowia. Ale nie powinien nam przesłonić losów ludzi, choćby ich było niewiele. Trzeba im przyjąć z pomocą, ułatwić podjęcie trudnej decyzji. Kto ma się tym zająć? Otóż właśnie — kto? Chyba jednak gospodarze powiatów i województwa.

MARIA KEMPARA

Józef Pieprzyk

Za ladą księgarską

Jestem księgarzem. Lada, przy której stoję, to nowusienska witryna, przez jej szkło widać książkowe okładki o kolorowych tytułach i nazwiskach autorów. Przeważają wydawnictwa artystyczne. Za mną półki wypełnione książkami.

Czekam na klientów. W myślach na ladzie kładę najciekawsze dzieła. Raz po raz drzwi wejściowe otwierają się i wchodzi po kilka kobiet. Wszystkie kroki swoje kierują w stronę kierowniczkę księgarń, prowadzącą przy drugiej ladzie sprzedaż papieru. Jakby się zmówiły: żądają jedynie papieru — pakunkowego, listowego, pocztówek wielkanośnych, kleju, atramentu.

W ciągu dwóch rannych godzin z mojego działu sprzedana została jedna Encyklopedia Popularna (80 zł) i kilka bajek dla dzieci. O godz. 10.10 mężczyzna prosi o książkę „W cieniu krematorium”. Pyta także o płytę „Czerwone maki”. Po 10 minutach przyjeżdża ze wsi bierze dla swojego męża „Zasady ruchu pojazdów zaprzęgowych”. Córeczka prosi o bajkę, ale matka jest stanowcza i siłą dziecko wyprowadza z lokalu. Znowu przy mojej ladzie pusto, gdy przy drugiej tloć.

Korzystam z wolnej chwili, by dowiedzieć się coś nowego o zbycie książek w Międzyzdrojach.

Kierowniczka informuje, że przed dwoma dniami sprzedała książkę za 900 zł, a wczoraj tylko za 400 zł.

— A w całym roku ubiegłym? — pytam.

Pokazuje mi zeszłoroczny bilans. Za 387,5 tysięcy zł, to jest o 47 tysięcy zł więcej niż w 1959 r. W tym roku w styczniu sprzedała książki wartości 20.669 zł, w lutym — 25.600 zł, w marcu — 24.870 zł. W kwietniu chyba będzie mniej.

Przepraszam: klientka z córką — licealistką.

— Poproszę „Opowieść o prawdziwym człowieku” Polewoja.

Sięgam z najbliższej półki.

— Może jest coś z lektury dla kl. III i IV?

Przeglądam spis i kontroluję go z książkami. Jest tylko „Siwa gaska, siwa”. To wszystko.

Przy ladzie z artykułami piśmiennymi na nowo tłoczno.

Chłopcy wracający ze szkoły dopytują się o blok rysunkowy nr 2. A może są kartki do tych bloków? Nie ma. Przy tej okazji kupują losy loterii książkowej. Jeden za wygrane 4 zł wybiera u mnie broszurkę z „Miniatur morskich”. Czy mu się

śmieją do wszystkich rozłożonych książeczek.

Dwugodzinna przerwa obiadowa. Przeznaczam ją na odwiedzin Powiatowej i Miejskiej Biblioteki. Ile tu książek? 27 tysięcy tomów. 1484 czytelników w ubiegłym roku, a w roku poprzednim 1370. Budżet roczny na zakupy wynosi 60 tys. zł. Liczę: 60 tys. zł wpływa do księgarni, około 20 tysięcy zł wynosi zakup dla szkolnych bibliotek, tyle pieniędzy na książki wydają instytucje i zakłady pracy. Razem 100 tysięcy zł. Odejmijmy od 387,5 tysięcy, pozostaje 287,5 tysięcy zł. Tyle wynosiły zeszłoroczne zakupy indywidualne w księgarni.

Dzienny utarg kształtuje się poniżej 900 zł. Jak na miasto liczące przeszło 7 tysięcy mieszkańców i okolicę z 12—13 tysiącami (powiat międzyzdrójki ma 20 tysięcy mieszkańców, część z nich korzysta z księgarni w Sierakowie) — to chyba nie dużo. Przypada zaledwie 15 zł rocznie na jednego obywatela.

Wróćmy już do księgarni. Film ten sam: tloć przy artykułach piśmiennych. W ciągu jednej godziny sprzedaje uczniowie liceum „Krate” Gojawiczyńskiej i jeden romansik młodzieńkiemu małżeństwu. Starszy pan reflektuje na obraz. Przegląda. Nic mu się nie podoba. Dwie młode panie każą sobie nagrać wybraną płytę. Nie mogą się zdecydować na wybór w ciągu 20 minut.

— Są zeszyty krótkowane?

— Nie ma.

Kupują chłopcy grube bruliony. Za nimi zjawia się człowiek w kurtce. Nareszcie ktoś po książkę.

— Coś z kryminałów?

Gości mi się robi. Kryminałów nie ma. Na chybił-trafił kładę przed nim „125 historyjek morskich” St. Biernata.

— Dobre, bo krótkie. Będzie coś do poduszki? Ile płacę?

— Dziesięć złotych.

Dłuższa przerwa. Nowy klient żąda nowości. Rozkładam przed nim stertę tomów. Wszystko nie to, co chciałby. A może „Młynek do kawy” Gaczyńskiego? Już go kupił. Może „Benvenuta Celliniego” żywo własny. Ostatni egzemplarz! To go nie interesuje. Wreszcie bierze „Wiersze” Adama Ważyka. Głupio mu jakoś wyjść z księgarni z jedną pozycją. W Loterii Książkową wygrywa zeszyt z „Miniatur morskich”.

Przy stoisku kierowniczkę „idzie” w dalszym ciągu papier pakunkowy.

Ktoś znowu pyta o płyty patefonowe, o których „pisali” w „Przekroju”, kilku chłopców kupuje losy, jednemu z nich dwukrotnie sprzyja szczęście. Interesuje go seria „Zrób to sam” — „Modele latające”.

— Ma pan „Idiotę” Dostojewskiego?

— Weź coś innego — odradza młodej pani małż. — Nie ma czasu czytać tak grubej książki!

Na ladzie leżą tom za tomem.

— Aha, jest! — proszę podać ten podręcznik lekarski.

Jeszcze coś by wziął, tak „dla odprężenia umysłowego”. Namawiam na reportaż Merciera z XVIII-wiecznego Paryża. Dobrze. Przewraca kartki „Benvenuta Celliniego”... Interesujące. Bierze. Rachunek 125 zł. Domyślam się, że jest to jeden z miejscowych lekarzy.

Nauczycielka kupuje „Historię Polski do 1796 roku”. Po niej w bajkach przewraca nauczyciel z Głazewa. Byle były tanie i dobre, bo innych dzieci na wsi nie kupia.

To wszyscy klienci dziennikarza w roli jednodniowego księgarza. Utarg — niecałe 400 zł. Na zegarku godz. 18. Czas zamykać lokal i przejść do ogólnych stwierdzeń.

▲ Klienci księgarni powiatowej dzielą się na 3 grupy. Jedna — szuka książek z lektury obowiązkowej w szkołach, druga — szuka książek dla odprężenia umysłowego. Niestety, wybór prawie żaden. To, co się ukaże, szybko się rozchodzi, nie ma wznowień, a jeśli są, to trzeba czekać lata. Mało się też u nas zwraca uwagi na tak chętnie kupowane wydawnictwa kieszonkowe. Sądzę, że nie można nie doceniać tak zwanych „kryminałów”, które przecież stanowią pomost do trudniejszej twórczości literackiej.

Trzecia grupa kupujących — to bardzo nieliczni smakosze książek, którzy nie liczą się z cenami.

▲ Książka — jak każdy artykuł handlowy — musi mieć swoją wymowną reklamę. Podanie tytułu, nazwiska autora i ceny, jeszcze o niczym nie mówi. Potrzebne są krótkie „metryczki”, które by i sprzedającego, a szczególnie kupującego, informowały, jaką treść publikacja zawiera.

▲ Tworzymy „Samy” z bezpośrednim dostępem do artykułów spożywczych, chociaż nawet dziecko odróżnia masło od ryżu. Dlaczego nie otworzyć „Samów” z książkami? Pozwólmy ludziom wybierać według własnego uznania.

Czesław Michniak sprowokował, za pośrednictwem „Nowej Kultury”, dyskusję na temat miejsca przyszłego Pałacu Kultury w życiu kulturalnym naszego miasta. Jak wiadomo, władze miejskie podjęły decyzję o oddaniu dotychczasowej siedziby Rady Narodowej m. Poznania (Nowy Ratusz) na cele kulturalne, projektując stworzenie wielkiego Pałacu Kultury.

Michniak wyraża w swym artykule obawę, czy tworzenie Pałacu Kultury jako centralnego ośrodka pracy kulturalno-oświatowej w Poznaniu, nie wpłynie hamująco na ożywienie kulturalne poszczególnych dzielnic i peryferii, czy nie zaszkodzi tym samym samej sprawie rozwoju życia kulturalnego szerokiego społeczeństwa. Zdaniem Michniaka główną szansę kultury stanowi inicjatywa i ofiarność działaczy rad dzielnicowych, organizacji społecznych i zakładów pracy.

Podziela obawy Michniaka. Sądzę jednak, że właściwszym miejscem ich wyrażania jest w tym wypadku prasa poznańska.

Szkoda, że pewne realne niebezpieczeństwa wiążą się z tak piękną i godną gorącego poparcia sprawą, jaką stanowi projekt stworzenia Pałacu.

Czy jednak nie można uczynić niczego takiego, co pozwoliłoby zrealizować w pełni inicjatywę stworzenia Pałacu Kultury bez powodowania ujemnych skutków w rodzaju wspomnianego hamowania zapału i inwencji terenowych ogniw władzy, zakładów pracy i działaczy?

Można uczynić wiele, można temu skutecznie zapobiec!

Już sam fakt, że dostrzegano nie tylko te wielce optymistyczne strony zagadnienia, ale i minusy, stanowi nadzieję, że decyzje zapadną

rozsądne, że będą poprzedzane wnikliwą i szeroko zakrojoną dyskusją w gronie działaczy i wszystkich kierownictw zainteresowanych instytucji i organizacji.

O tę właśnie dyskusję należy gorąco apelować do władz miejskich! Tak wielkiej sprawy nie sposób załatwić w wąskim gronie „projektantów”. Szeroka dyskusja — to

Dzierżymir Jankowski

Co z tym Pałacem?

pierwsza konieczność chwili obecnej.

Wielka szansa

Oddanie Nowego Ratusza przez Radę Narodową m. Poznania na cele kulturalne stanowi przede wszystkim ogromną szansę dla młodzieży w wieku szkolnym i dorosłej.

Nie ulega bowiem kwestii, że jakkolwiek powstające tu i ówdzie inicjatywy rozwinięcia pracy kulturalno-oświatowej wśród młodzieży w różnych ośrodkach miasta mogą przynieść pewne rezultaty, wielki Pałac Kultury rozstrzyga problem potrzeb kulturalnych tej grupy społecznej zasadniczo i w sposób niemal natychmiastowy.

Podwojenie możliwości pracy dotychczasowego Młodzieżowego Domu Kultury, stworzenie kilku wielkich i doskonale urządzonych klubów przez dotychczasowy Wojewódzki Dom Kultury, możliwości organizowania wielu otwartych imprez dziennych (muzycznych, teatralnych, widowiskowych, oświatowych i rozrywkowych), tworzenie dużej liczby zespołów amatorskich i kół zainteresowań — wszystko to kryje w sobie wielkie możliwości wychowawczego oddziaływania.

Tym większe będzie znaczenie pracy Pałacu, jeśli jego kierownictwo zechce główny nacisk położyć na intensywną formę i metody pracy kulturalno-oświatowej, tj. takie, które dają młodzieży i dorosłym szansę aktywnego i twórczego udziału w przyswajaniu sobie dóbr kulturalnych i wszechstronnego rozwijania swej osobowości (koła za-

interesowań, zespoły amatorskie, kluby, miłośnictwo, czytelnictwo, nabywanie umiejętności itp.). Zapotrzebowanie na formy i metody pracy kulturalno-oświatowej tzw. ekstensywne (zwłaszcza działalność o charakterze imprezowym) jest duże, ale nie należy w wyborze metod i programowaniu pracy działać na ślepo. Mam tu na myśli tzw. problem potrzeb środowiska. Organizując działalność kulturalno-oświatową najczęściej powołujemy się na potrzeby środowiska. Jakże często jednak dostrzegamy tylko te potrzeby, które ludzie uświadamiają sobie subiektywnie i potrafią je wyrazić! Gdy zapytać przeciętnego młodzieńca co chciałby czytać w czasie wolnym od pracy najczęściej odpowie: chce się bawić, potrzeba mi rozrywki. My zaś tłumaczymy to nieodwołalnie, że ów młodzieniec chce kina i zabawy tanecznej. Tymczasem działacza kulturalno-oświatowego interesować muszą potrzeby środowiska uświadomione subiektywnie czy nieuświadomione, potrzeby jednostek i zbiorowości, potrzeby inteligencji i robotników, chłopów.

Dokonanie rozeznania potrzeb kulturalnych środowiska (w omawianym przypadku potrzeb społeczeństwa Poznania i także w jakiejś mierze społeczeństwa Wielkopolski), uświadomienie ich sobie jest zadaniem pierwszorzędym dla twórców Pałacu Kultury.

Dla Poznania czy Wielkopolski?

Odpowiedź na to pytanie ma znaczenie dla ukierunkowania prac organizacyjnych i programowych. Tymczasem sprawa jest niełatwa do rozstrzygnięcia. Na pewno niełatwo przyjdzie także zorganizowanie działalności kulturalno-oświatowej w Pałacu, by osiągnąć sukces liczego uczęszczania do pracowni, klubów, zespołów, na imprezy itp. w samej siedzibie. Każdy pracownik k.o. dobrze wie, ile trzeba wysiłków i pomysłowości, by zachęcić ludzi do udziału w bardzo nawet atrakcyjnej imprezie. Przychodzi to z trudem placówkom o dużych tradycjach i więzach ze społeczeństwem, a co dopiero młodym.

Ten problem ma także swój związek z zagadnieniem struktury Pałacu. Nieodparcie nasuwają się wątpliwości czy Pałac ma być zbudowany jako jedna, wielka, scentralizowana instytucja, czy też ma być sumą kilku samodzielnych, prowadzących merytoryczną działalność placówek.

Jedno jest pewne — struktura organizacyjna Pałacu przewidywać musi i zabezpieczać maksymalną samodzielność decyzji i odpowiedzialności komórek najniższych przy zastosowaniu sprzężonego kierownictwa tymi komórkami.

Sądzę także, że interesy województwa muszą być zabezpieczone. Potrzeby kulturalne bowiem są zbyt wielkie a ich zaspokojenie ma doniosłe znaczenie dla rozwoju społecznego Wielkopolski i kraju, by można było sprawy województwa wyłaczyć z dyskusji nad Pałacem i jego organizacją i programem działania.



Ciąg dalszy ze str. 2

dynku milicyjnego. Wyjazd mógł być więc już co najmniej o godzinę spóźniony. Obsada jeepa mogła liczyć najwyższe na spotkanie z odchodzącymi ubezpieczeniami Jedrycha. Znał bowiem Jedrych okolice, czuł się pewnym na swoim obszarze, a istniały nawet domysły, że po telefonie wcześniej wie o wyjeździe patrolu z miejsczka, niż komendant posterunku. Po prostu — zbyt wielkie miał dołąć szczęście, aby wieść stugębna a nie miała podawać jako nieomal pewne i urzędowo stwierdzone, że watałka jest w jak najlepszym stosunkach z najważniejszymi władzami powiatu, a może nawet i województwa. Byli w okolicy ludzie, którzy mieli go widywać, jak z przeinaczonym wąsem, bawił się w mieście w najlepszej, pił z urzędnikami starostwa i komendantury, a na resztę nocy szedł spać do najpiękniejszych dziewcząt, które lubią dzielnich i sławnych motoristów, nie szczędzących pieniędzy, podarunków i odznaczających się w miłosnych poczynaniach szczególniejszym pożądaniami i wytrwałością. Zbadałem prawdziwość tych pogłosek miał się zająć wydział śledczy, jeden z dwóch jego pracowników, nie miał prawa włożyć im w parady inne wydziały — a już najmniej patrol alarmowy. Mogli o tym wszystkim myśleć, mogli sobie nawet o tym porozmawiać w wolnym czasie. W trakcie akcji już na to czasu nie było. Krzysztof oczy wytrzeszczał przed maską wozu. Pień obmyślał plan odsiecz. Karol, podobnie jak i dwaj pozostali, byli napięci, jak struny, aby gdy tylko coś się żywego poruszy, nie dać się uprzędzić.

Mgły już poczęły rzędnąć. Chłodny wiatr ciął w twarz. Równina otwierała się przed oczami coraz szersza, przeświecając tu i ówdzie gęstymi zaroślami, które w oddali urastały na wysokość lasu. Wzdłuż drogi widoczne były ściany niezamieszkałych pojedynczych domostw, czasem rozwalonych jakimś jakby podmuchem, to znowu noszących na sobie czarne cienie pożaru. Były też domy całe i krzepkie, które nadawały się do zamieszkania, skoro tylko wstawiłoby się kilka rozbrzyźniętych od jakichś nieznanym zdarzeniem szyb w oknach i brakujących desek w drzwiach. Domki te przedstawiały sobą jeszcze atrakcyjny widok. Wyglądały solidnie i sprawiały wrażenie jakiegoś podmiejskiego osiedla willowego, opuszczonego nagle przez mieszkańców i pozabawionego zupełnie jakiegokolwiek żywego stworzenia. Zieliska ogrodowe rozrastały się tu bowiem wszędzie z nieprawdopodobną bujnością i zieleniły niemal nadnaturalnie. Nie były to jeszcze Brzeszcze, ale jedna z pomniejszych kolonii, zabudowana luźnymi gospodarstwami. Toteż niebawem jeep domki te zostawił daleko w tyle, a oczom patrolu ukazało się znowu rozległe pole, zarośnięte jakas bezbarwną turzycą, okraszona gdzieniegdzie regularnymi figurami geometrycznymi o barwie jaskrawo żółtej, to znowu liliowej, niczym wrzosiwo. Zając je czasem niemrawym kucaniem przecinał na ukos, dopóki nie stanął i nie zamął w zagapieniu. Od równiny odrzwał się też czasem jakiś wczesny płak, mały, bezbarwny, podrywał się niemal pionowo w górę i jakby mu sił nagle zabrakło, spadał w dół.

Pęd samochodu uniemożliwiał jakąkolwiek rozmowę, gdyż wiatr porywał z miejsca słowa, rozbił o poręcz auta i odrzucał z powrotem w uszy mówiącego i słuchających w postaci zupełnie zdeformowanej, rozdzielonej na smugi dźwięków, zupełnie zniekształconych i niezrozumiałych. Rozmowa więc nie mogła się utrzymać — nie mogła się nawet zacząć. Przez kurki przytuleni do siebie mężczyźni odczuwali jedynie ciepło swoich ciał. I to było wszystko. Cel wyprawy zbliżał się zresztą coraz wyraźniej, stawał się coraz ostrzej, natarczywiejszy, budził z nową siłą i tak będące w napięciu nerwy i zmysły. Krzysztof kurczył się przy kierownicy. Pień zaś coraz częściej, podnosił się, wychylał swój nałany łeb z kołnierza, patrząc na boki. W pewnej chwili zadysponował, aby zatrzymać pojazd; wyraził to raczej gestem niż słowem. Kiedy wóz osiadł w miejscu, powiedział cicho:

— Zrobimy naradę. Jechać dalej szosą nie ma sensu.

A zwracając się do Krzysztofa, zapytał:

— Ile jeszcze do Brzeszcza?

— Najwyżej z czterech kilometrów.

— Tak i myślałem — powiedział Pień, nie zwracając uwagi na Krzysztofa.

— Mój plan jest taki, aby zrobić za-

Dokończenie na str. 4



Dokończenie ze str. 3

sadzkę, o tu — machnął dłoń — przy drodze z Brzeszcza na Małe Podmokle. Oczywiście, dojeżdżać tam trzeba od strony lasu. Zrobić to ja sam, z wami dwoma — wskazał na nowicjuszy. — Jak macie zrobić w pory, to może będzie teraz okazja...

— Tajęst — poderwali się.

— A dla was — spojrzeli na Karola, a po chwili i na Krzysztofa — zadanie widzę takie. Pojedziecie wprost na Brzeszcze, traktując jak widać.

Machnął znowu ręką. Powiedział do siebie.

— Całe to nasze zadanie i tak o d... rozbić. Jednych musiałby być ostatni k... żeby tam jeszcze do tej godziny na nas czekać. My zawsze przyjeżdżamy na ite missa, jak już ksiądz do zakrystii przyszedł. No ale może bandziory poszli na wódkę i my będziemy mieli szczęście wyciągać ich spod pierzyny... to miejsce się na baczności, Karol. Żeby wam spod jakiegoś łóżka siek z kadłubów nie porobili. Zrozumiano?

— Jest.

— To nam w drogę. Wy nie ruszajcie wcześniej, jak za pół godziny. Przeleciecie przez wiochę na pełnym gazie. Jeśli będzie cicho, zawróćcie i zobaczcie, co na posterunku.

Trzech ludzi ruszyło krótkim krokiem przez pole. Karol przysłał w rowie i dał jeszcze ulgę pęcherzowi, a Krzysztof obszedł wóz, siuknął butem w jedną i drugą oponę, przyklnął dłoń do maski wozu.

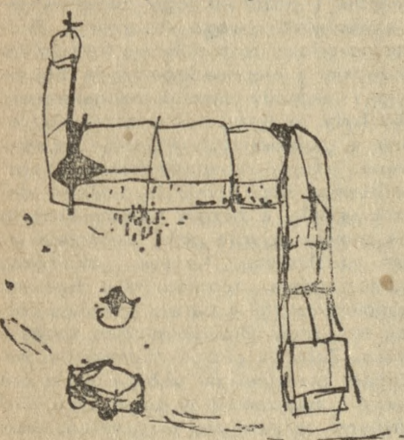
— Co, zagral się?

— Nie, nawet nie. Motor, bracie, dobry.

Karol wyjął z pasa pistolet, odwiódł lufę, sprawdził magazynek, po czym niedbale ruchem podciągnął parciany pasek pepeszy, naprowadził lufę do strzału i powiedział do Krzysztofa:

— Pomacalbys lepiej katarynę, bracie, bo jak się pokaże, że jednych jeszcze portki poprawia za jakąś stodołą, to...

Nie dokończył, bo od strony, skąd właśnie przyjechali, pokazał się nagle na pustej drodze mały czarny opelek. Pędził co sił było w motorze. Karol przez chwilę wahął się, czy by go nie zatrzymać, ale nim coś zdecydowanego postanowił, samochód przeleciał. Zauważył tylko, że wóz miał oznaki wojskowe radzieckie, siedzieli w nim dwaj oficerowie w wielkich barankowych czapkach i — jak mu się zdawało — na



tylnym siedzeniu kobieta, też w mundurze. Odechnął z ulgą. Gdyby był wóz zatrzymał, zanim by się dogadali, zeszłoby trochę czasu — nie miałyby to i tak większego sensu. Zastanawiało go tylko, że opel wybrał się tą nieucieczną trasą w tak małej obszarze, co było niebezpieczne w tym czasie — i o czym zwykle komendantury radzieckiej i Urzędu uprzedzały się. Ale po chwili przestał myśleć i o tym. Usiadł na skarpie szosy, spojrzął na zegarek. Do wykonania rozkazu sierżanta pozostało jeszcze piętnaście minut. Spojrzął w kierunku, gdzie udali się pozostali żołnierze patrolu. Nie dostrzegł ich — musieli już chyba dojeżdżać do lasu. Zastanawiał się, czy nie dosłyszeli jakichś odgłosów, może strzałów czy okrzyków. Ale niczego takiego nie usłyszał. W bliższej i dalszej okolicy rozlegało się jedynie poćwierkanie jakichś pojedynczych ptaków. Siegnął więc do mapnika. Spojrzął uważnie na odpowiedni kwartał, poszukał miasta, drogi, która ich tu przywiodła. W bliskości od Brzeszcza oznaczył miejsce, gdzie się zatrzymali. Miejsce wydawało mu się odpowiednie, choć nieostronie żadną naturalną barierą, miało jednak tę zaletę, że stąd było najbliżej do wyruszającego się ku szosie pasma lasów, które następnie w kierunku wschodnim dotykały kłębem Brzeszcza i potem w kształcie litery V odbiegały znowu na północ. Lasy nie miały żadnych większych zakoli i uroczysk, szły wąskim pasem, nie mogły też stanąć w tym rejonie punktu oparcia na stałą bazę — to mogła być tylko osłona przejściowa, punkt obserwacyjny, podpora moralna dla grupy, która mogła być pewna o swoje odwody i leża, mieszcząc się w osiedlach dalej położonych. Karol snuł tak swoje domysły i zatrzymał wzrok przy wsiach, mających na jego mapie niemieckie jeszcze nazwy. Domysły stawały się u niego niemal pewnikami. Zdecydował się, że po powrocie zgłosi się do raportu u komendanta i podzieli się z nim swoimi przypuszczeniami. Wszystko układało mu się w łańcuch przyczyn i następstw tak jasny, logiczny i przekonujący, że aż uśmiechnął się do siebie.

O, tu, tu trzeba dać w d... Jednych cię. O cykanie, cała ta patrolowa akcja alarmowa, jest tylko zawracaniem głowy...

— Ty, towarzyszu, słysz — odezwał się nagle Krzysztof — zamyśliłeś się o d... Maryni, a tu już czas na nas...

— O, cholera, rzeczywiście. Dawaj w gaz, bracie.

Jeep ruszył. Obaj jeźdźcy skupili się przy szybie. Wiały pociąg znowu tłuc o tylnie siedzenie. Zanim się oswoił z jego furgotem, w polu widzenia ukazały się domy. Z kraju było tu także kilka zabudowań opuszczonych, ale już dalej dostrzec się dało bez trudu, że centrum osiedla jest zamieszkałe. Ludzi jednak nie było widać. Raptem szosa jakby się rozszerzyła, tworząc coś w rodzaju placu. Domy tu były większe, piętrowe. Tu właśnie była siedziba posterunku. Karol spojrzął w jego stronę. Budynek miał zamknięte okiennice, u wejścia stało kilku mężczyzn, którzy poczęli gwałtownie wymachiwać rękami w stronę nadbiegającego pojazdu, ale ten nie zatrzymał się i pojechał w obrany kierunek. Jechał jeszcze czas jakiś tym samym pędem, wreszcie zwolnił i zatrzymał się. Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie. Wszystko było jasne. Krzysztof mruzczał przez zaciśnięte zęby jakieś słowa, w których co chwila powtarzało się ostro akcentowane r i począł manewrować pojazdem, aby móc zawrócić.

FELIKS FORNALCZYK

Rozdział z przygotowywanej powieści pod tytułem „Czarne róże”.

Koszalińskie czeka na odkrycie przez turystów

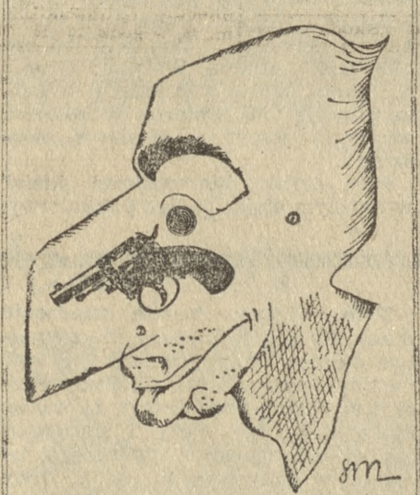
Koszalińskie czeka jeszcze na odkrycie przez turystów i wczasowiczów. Oczywiście, że chodzi o miejscowości leżące w bezpośrednim sąsiedztwie morza, bo i tutaj pocyna już być ciasno. Co prawda w Kołobrzegu, Mielnie, Darłowie i Uście spokojnie latem panuje większy niż w Ustroniu Morskim, Sarbinowie, Chłopach, Unieście, Dąbkach, Jarosławcu i Rowach — nadmorskich osadach, w których poza kwaterami u rybaków i rolników znajdują się domy wczasowe FWP (Ustronie, Sarbinowo, Chłopy) lub ośrodki wypoczynkowe zakładów pracy i związków zawodowych, nie licząc obozów młodzieżowych. W Kołobrzegu, Mielnie, Darłowie, Uście można znaleźć noclegi również w domach wycieczkowych, schroniskach i obozowiskach PTTK oraz za pośrednictwem dobrze zorganizowanych np. w Kołobrzegu i Darłowie punktów pośrednictwa PTTK — kwatery prywatne.

Ale, powtarzam, tereny do odkrycia znajdują się na południe od wybrzeża wśród koszalińskiego jeziora.

Słabo uczęszczany jest np. szlak wodniacki wzdłuż Drawy, prowadzący od historycznego Czaplinka przez Zieleniec, Stare Drawsko, Drawsko do Krzyża. Od Czaplinka zaś niedaleko do Szczecinka lub malowniczej Szwajcarii Połczyńskiej (borowiny, uzdrowisko, jeziora) lub do jezior z wyspami, na których stale mieszkają i gospodarują ludzie. Kłopotów z noclegami na tym szlaku nie powinno się odczuwać: jest on jeszcze mało uczęszczany, a poza stanicami wodnymi i wędkarskimi w tym roku część szkół i mieszkań prywatnych otwiera podwoje dla turystów.

J. N.

Z TEKSTU ST. MROWIŃSKIEGO



Czesław Chruszczewski
(Paweł Rewicz)

kierownik redakcji literackiej
Rozgłośni Poznańskiej PR

Eugeniusz Paukszta

Obraz niedawnych lat

Myślę o latach wojny, jak też o wszystkim, co ją poprzedzało i co przeżywamy ciągle w jej skutkach. Wydarzenia szybko narastają, niż potem zdążyć je odzwierciedlić literaturą: pamiętniki, wspomnienia, dokumentacje, zapiski, utwory fikcyjne, ale wsparte o autentyzm opisywanych zjawisk czy ogólnych nastrojów. Długo jeszcze sumować się będzie kształt wiedzy o odpyływających w dal, ale ciągle okrutnie pamiętnych latach. Dlatego też bezcenny jest każdy przyczynek do dziejów przeszłości. Dla nauki i przestrogi.

„Ossolineum” opublikowało pracę Franciszka Ryszki „NOC I MŁA”, historyczną, opartą na ścisłej dokumentacji opowieść o Niemcach w okresie hitlerowskim, właściwie o wewnętrznych dziejach hitlerizmu od jego początków po koniec na gruzach Berlina w 1945 roku. Książka powstała w wyniku długoletnich studiów autora nad dostępną mu w wielu krajach dokumentacją dziejów wojny i okresu ją poprzedzającego, przynosi też wiele materiału mało znanego i znakomicie poszerza wiedzę o systemie, który przyniósł klęskę innym narodom i swemu własnemu narodowi.

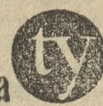
W doskonale redagowanej przez MON „Bibliotece wiedzy wojkowej”, mającej zaprzysięgłych entuzjastów, ukazały się ostatnio dwie arcyciekawe i ważne prace. Chciałbym zwłaszcza zwrócić uwagę na tom zbiorowy „SZLAK BOJOWY RADZIECKICH SIŁ ZBROJNYCH”, bogato zaopatrzone w szkice i zdjęcia historii Armii Radzieckiej, od jej powstania poprzez walki w okresie obecnej interwencji i wojny domowej, okres pokojowego rozwoju aż po wielką wojnę narodową i wreszcie rzut okiem na radzieckie siły zbrojne w okresie powojennym. Drugą pozycją w tej serii są „PAMIĘTNIKI WOJENNE” Charles de Gaulle'a, tom I, obejmujący okres od 1940 po 1942 rok, z przedmową polską Jana Gerharda. Pomijając już atrakcyjność tematu, uwagę zwraca literackość tekstu. Można mieć wiele zastrzeżeń do ocen generała, to jeszcze mając na uwadze, że poza historią wojskową, tekst jego stanowi program polityczny, niemniej lektura pamiętników przynosi pełniejsze wejście na dzieje Francji tamtych lat, naświetla też

niejeden moment ze spraw zakulisowych.

W MON-ie też ukazała się książka wypełniająca sporą lukę w wiedzy o walkach wojennych I Armii Wojska Polskiego, mianowicie Józefa Margulesa „PRZY CZŁEKI WARSZAWSKIE”, monograficzne przedstawienie, analiza i ocena działań I Armii WP w rejonie Warszawy we wrześniu 1944 roku, w okresie Powstania Warszawskiego. Książka uściśla wiedzę o tym okresie, przynosząc istotne uzupełnienie dotychczasowych publikacji.

Okupacja była walką, nieustającą, bezkompromisową. Pojawiają się wciąż nowe z niej relacje, z nich uzupełnia się obraz

z książką na



sił oporu w narodzie polskim. MON ogłosił obecnie „GORACE DNI” Gustawa Aleja - Bolkowia-ka, jednego z zasłużonych przywódców partyzanckich Gwardii i Armii Ludowej, pisane bardzo żywo, w oparciu o dokumentację, ukazujące niejeden fakt w pełniejszym naświetleniu. Jakby uzupełnieniem tej pracy jest wydana przez „Naszą Księgarnię” opowieść St. Biskupskiego „CHŁOPCY Z OSTROWIECKICH LASÓW”, ukazująca szeroki udział młodzieży Kielecczyny w partyzanckim ruchu Armii Ludowej.

Koniec wojny przynosi prawo do wymiaru sprawiedliwości. Dochodzi do procesów przeciw wielkim przestępcom wojennym. Dobrze się stało, że „Iskry” wznowiły książkę T. Cypriana, J. Sawickiego i M. Siewierskiego „GŁOS MA PROKURATOR”, będącą opartą o stenogramy zbioru mów oskarżycielskich w procesach Najwyższego Trybunału Narodowego w latach 1946—1948 (załoga Majdanka, Greiser, Goeth, Fischer, R. Hoess, załoga Oświęcimia, Forster i Buehler). Te mowy należy wciąż przypominać, by nie zaginęła okrutna prawda w nich zawarta.

A jednak klęska, procesy, wszystko to nie zabiło bez reszty złych czadów hitlerizmu. W wydanej przez PAX świetnej powieści Christiana Geisslera „ZŁA SZAM INTERPELACJE”, autor wyraża bunt przeciw przemilczaniu przeszłości, jej zamazywaniu, polemizuje i oskarża z całą pasją imieniem swego pokolenia „bez ojców”. Wstrząsająca lektura, także i zawarta w niej nieodwrotna przestroga.

Podhale w ogniu

Jerzy Ambroziewicz pisze na łamach Tygodnika Kulturalnego o nowej inicjatywie w Nowym Targu. Artykuł nosi tytuł Podhale w ogniu. Jest to relacja z dyskusji, w której wzięli udział i sekretarz KP PZPR Alfred Poloczek, przewodniczący Prezydium MRN Tymofiej Timofiejczuk i komendant powiatowy MO Tadeusz Urbaniczak. Inicjatywa polega na tym, by pełniej wykorzystać Nowotarskie jako tereny uzdrowiskowo-wypoczynkowe, by wykazać większą dbałość o stan terenów turystycznych i wczasowych. Autor zapytuje: Dlaczego dopiero w marcu 1962 r. narodziła się nowotarska inicjatywa? Odpowiada A. Poloczek:

„Nasza inicjatywa rodziła się „w ruchu” (...). Teraz otwieramy budowę lotniska pasażerskiego (...). Pierwszą jaskółką było wyładowanie podczas FIS-u samolotu z premerem Józefem Cyrankiewiczem. W latach 1960/61, suma podjętych i zrealizowanych zobowiązań tutejszej ludności wynosiła ponad 11 milionów, a na sam rok 1962, suma zobowiązań przekroczyła już 12 milionów (...). Taka jest geneza naszej inicjatywy i odpowiedź na Wasze pytanie, dlaczego narodziła się ona dziś, a nie wcześniej, powiedzmy, jutro.”

Czytając artykuł Ambroziewicza, mimo woli myśli się o Wielkopolsce. Mamy przecież dużo pięknych terenów turystycznych i wypoczynkowych. Wielkopolskie jeziora i lasy mogłyby się stać najmłodniejszymi w kraju rejonami. Niestety, inicjatywa naszych organów administracji terenowej i zainteresowanych organizacji jakoś nie wychodzi poza niezbędne, najbardziej podstawowe przedsięwzięcia. A to nie wystarczy, żeby z Wielkopolski uczynić popularne i wzięte rejonu turystyczno-wypoczynkowe. Szkoda.

LEKTOR



Operować przemocą?

Coraz częściej na łamach tygodników pojawiają się artykuły lekarzy i prawników poruszające problem tzw. przymusu leczenia, bez względu na to czy pacjent tego sobie życzy, czy nie. Prawo i Życie publikuje interesujący artykuł Tadeusza Cypriana (profesora UAM) pt. Czy należy operować przemocą.

„Co należy (...) uczynić, jeżeli dorosły chory na gruźlicę, skierowany przez szpital na leczenie operacyjne, kategorycznie odmawia poddania się operacji? Czy należy go związać, a następnie dokonać operacji przemocą? (...). Czy lekarz, przeprowadzający operację, może dać stuprocentową gwarancję, że operacja się nie tylko uda, ale że w pełni gruźlicę nieczyży? I co będzie, jeżeli pacjent w czasie operacji umrze lub potem zostanie kaleką?”

Autor m. in. wysuwa postulat wprowadzenia „przymusu prawnego”, ale:

„Wprowadzenie jakiegś generalnej zasady przenoszącej wszystkie konflikty tego rodzaju na sąd nie wydaje się celowe (...). Oczywiście, są sytuacje, w których dobro społeczeństwa jest tak wysoko zagrożone, że trzeba wprowadzić pewne środki przymusu (leczenie alkoholizmu, otwartej gruźlicy, chorób epidemicznych, szczepienia, izolację niebezpiecznych dla otoczenia itd.), ale te środki

przymusu powinny stanowić raczej normy wyjątkowe, nie należy ich zaś rozszerzać na całość leczenia, które rozwija się na zasadzie zaufania pacjenta do lekarza z jednej strony, a zrozumienia rzeczywistych potrzeb pacjenta przez lekarza z drugiej...”

Zainteresowanych tym problemem odsyłamy do cytowanego artykułu, który jest tym ciekawszy, że autor polemizuje z innymi poglądami na temat przymusowego leczenia. Problem nie jest łatwy. Trudno też oczekiwać, że rozwiążą go jakieś ustawy specjalne. Nawet ustawa o zawodzie lekarza nie przyniesie w tej dziedzinie jakichś zasadniczych i ostatecznych rozwiązań.

Los samotnej kobiety

W jednym ze styczniowych numerów Polityki opublikowano reportaż Andrzeja Berkowicza pt. „Casus: Kołakowska”. Była ona pracownicą Lekarskiej Przychodni Obwodowej w Zambrowie. 30 kwietnia 1960 r. otrzymała wypowiedzenie i — mimo usilnych starań — do dziś nie znajduje żadnej innej pracy. Na wspomniany reportaż odpowiedział rzecznik prasowy Prokuratora Generalnego. Krótko mówiąc, rzecznik nie zgadza się z faktami zawartymi w reportażu. List ten opublikowano w ostatnim numerze Polityki. W tym samym numerze znalazł się drugi reportaż pt. Los samotnej kobiety, napisany przez dwóch członków kolegium zespołu redakcyjnego — Dariusza Fikusa i Zygmunta Szelęga. Autorzy reportażu ponownie badają sprawę i w pełni podtrzymują stanowisko zajęte przez Andrzeja Berkowicza oraz polemizują z wyjaśnieniem rzecznika prasowego Prokuratora Generalnego.

„Zastaliśmy Kołakowską w łóżku, w zimnym pokoju. Jest chora, skończyły się resztki pieniędzy,

skończył się opał. Jest zupełnie samotna. Zupełnie bezradna. Sama i bezsilna (...). Toczy się postępowanie w sprawie przyznania Kołakowskiej renty inwalidzkiej (...). Nie pojechała na rozprawę (do Okręgowego Sądu Ubezpieczeń w Olsztynie — dopisek Lektora) — nie miała za co. Wyrok sądu — jak ostatnio zostaliśmy poinformowani — jest niekorzystny dla Kołakowskiej.”

Reportaż ukazuje dramat człowieka, który miał odwagę protestować przeciwko nadużyciom, nie chciał uczestniczyć w machlojkach finansowych i za to został surowo ukarany. To dramat niepotrzebnego człowieka.

Kryzys w Buenos Aires

To tytuł kolejnego listu Edmunda Osmańczyka z Południowej Ameryki. Listy te ukazują się w Przeglądzie Kulturalnym. Osmańczyk z dużym zapałem zagadnięcie opisuje kłopoty gospodarcze i polityczne 21-milionowej Argentyny — najbardziej europejskiego kraju Ameryki Łacińskiej.

„Blisko 62 proc. ludności Argentyny żyje w miastach, a tylko 38 proc. opiekuje się 48 milionami owiec, 42 milionami rogatych bydła, 5,5 milionami koni, 3,6 milionami świń i 780 tysiącami muiów, a także uprawia rolę i produkuje rocznie prawie 5 mln. ton żyta i ponad 5 mln. ton pszenicy oraz sporo kukurydzy, ziemniaków, warzyw i owoców.”

Kryzys gospodarczy związany jest z tworzeniem się zachodnio-europejskiego wspólnego rynku, bowiem od stuleci argentyńskie produkty rolne wędrowały do Europy zachodniej i na Wyspy Brytyjskie.

Znosi się na to, że kraj 48 milionów owiec nie tak szybko wydestynuje się z małej kryzysu. Tym bardziej że Stany Zjednoczone zainteresowane są w osłabianiu Argentyny.